

HISTORIA ZNAJOMOŚCI
Z NAJSŁYNNIEJSZYM
MORDERCĄ ŚWIATA

**TED
BUNDY**

SON
WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

BESTIA Ann Rule

OBOK MNIE

**TED
BUNDY
BESTIA** Ann Rule
OBOK MNIE

TŁUMACZENIE: BARTOSZ CZARTORYSKI

KRAKÓW 2021

The Stranger Beside Me. The True Crime Story of Ted Bundy

Copyright © 1980, 1989 by Ann Rule

Afterword copyright © 1986 by Ann Rule

20th Anniversary afterword copyright © 2000 by Ann Rule

The Final Chapter? copyright © 2009 by Ann Rule

ANN RULE® is a registered trademark of the Estate of Ann Rule.

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2021

Copyright © for the translation by Bartosz Czartoryski 2021

Redakcja – Adrian Kyc

Korekta – Aneta Wieczorek

Opracowanie typograficzne i skład – Joanna Pelc 🐼

Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Fotografia na okładce – Bettmann / Getty Images

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,

niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików.

Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści.

Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.

Dziękujemy!

Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2021

ISBN: 9788382102499



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

PRODUKCJA: Kamil Misiak, Joanna Pelc, Joanna Miła, Dagmara Kolasa, Grzegorz Krzymianowski

DESIGN I GRAFIKA: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka

PROMOCJA: Piotr Stokłosa, Aldona Liszka, Szymon Gagattek, Łukasz Szreniawa, Aleksandra Parzyszek, Karolina Prewysz-Kwinto

SPRZEDAŻ: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga

E-COMMERCE: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Marta Tabiś, Paweł Kasprowic

ADMINISTRACJA: Klaudia Sater, Monika Kuzko

FINANSE: Karolina Żak, Honorata Nicpoń

ZARZĄD: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędzia

www.wsqn.pl

www.sqnstore.pl

www.labotiga.pl

Podziękowania

Miałam niebywale szczęście, że podczas pisania tej książki mogłam liczyć na całe mnóstwo osób i organizacji. Byłoby to niemożliwe bez ich pomocy i emocjonalnego wsparcia, dlatego chciałabym podziękować: Komitetowi Przyjaciół i Rodzin Osób Zaginionych i Ofiar Brutalnych Zbrodni, Wydziałowi ds. Przepływów przeciwko Życiu i Zdrowiu policji z Seattle, Wydziałowi Kryminalnemu policji hrabstwa King, byłemu szeryfowi Donowi Redmondowi z hrabstwa Thurston, porucznikowi Jamesowi Stovalowi z policji z Salem w Oregonie, Gene'owi Millerowi z „Miami Herald”, George'owi Thurstonowi z „Washington Post”, Tony'emu Polkowi z „Rocky Mountain News”, Rickowi Barry'emu z „Tampa Tribune”, Albertowi Govoniemu, redaktorowi „True Detective”, Jackowi Olsenowi, Yvonne E.W. Smith, Amelii Mills, Maureen i Billowi Woodcockom, doktorowi Peterowi J. Modde'owi oraz moim dzieciom – Laurze, Leslie, Andy'emu i Mike'owi – które na parę miesięcy zgodziły się zrezygnować z towarzystwa matki, abym mogła pisać.

I tem większe teraz
Uczuł tortury, im większe rozkosze,
A nie dla siebie, ujrzał zgotowane.
Pali go dzika nienawiść; witając
Wspomnienie wszystkich klęsk swoich, tak duma:
„Myśli me, dokąd mnie wiedziecie? Jaką
Podniętą słodką, aż do zapomnienia,
Po com tu przyszedł? Nienawiść nie miłość!
Ani w nadziei Raju zamiast Piekła,
Ani w nadziei zażycia rozkoszy,
Przyszedłem burzyć w świecie rozkosz wszelką:
Oprócz jedynej rozkoszy burzenia,
Już każda inna nie dla mnie”.

John Milton, *Raj utracony*
(tłum. Władysław Bartkiewicz)

Przedmowa

1980*

Książka ta rozpoczęła swój żywot parę lat temu jako coś zupełnie innego. Miałam zająć się reportażem kryminalnym będącym swoistą kroniką serii niewyjaśnionych zabójstw młodych i atrakcyjnych kobiet. Z natury rzeczy miał to być owoc ekstensywnego dochodzenia, tekst, od którego będę całkowicie odseparowana. Moje życie nie mogło mieć przecież z tym nic wspólnego. Ale mój artykuł rozrósł się do rozmiaru mocno osobistej książki, opowieści o wyjątkowej przyjaźni, która, jak się złożyło, prześcignęła wygrzebane przeze mnie fakty. Bo mijały lata, a ja dowiedziałam się, że nieznamy będący w samym środku zataczającego coraz szersze kręgi policyjnego śledztwa nie jest ani trochę nieznamy. Jest moim kolegą.

Napisać książkę o anonimowym podejrzanym o zabójstwo to jedno. Ale napisać podobną rzecz o kimś, kogo znałeś i na kim ci zależało przez dobre dziesięć lat, to co innego. Lecz dokładnie to mnie spotkało. Umowę na tę książkę podpisałam długie miesiące przed namaszczeniem Teda Bundy'ego na głównego podejrzanego o kilkanaście zabójstw. Moja książka miała opowiadać nie o spozierającej z gazety, pozbawionej imienia twarzy, nie o jakimś obcym

* Pierwsze wydanie książki ukazało się w Stanach Zjednoczonych w 1980 roku, a jej wznowienia – aktualizowane o kolejne rozdziały w miarę ujawniania kolejnych wątków – kolejno w 1986, 1989, 2000 i 2008 roku, kilka lat przed śmiercią autorki. Niniejsze wydanie jest oparte na najaktualniejszej wersji książki.

z miliona osób zamieszkujących okolice Seattle, lecz o moim przyjacielu Tedzie Bundym.

Mogliśmy się nigdy nie spotkać. Logistycznie, statystycznie i demograficznie szanse, że poznam Teda Bundy'ego i od razu się z nim zaprzyjaźnię, były tak małe, że trudno nawet się nad nimi zadumać. Mieszkaliśmy w tym samym czasie w tych samych stanach – nie raz, lecz całe mnóstwo razy – jednak dziesięć lat różnicy między nami uniemożliwiało nam wcześniejsze spotkanie.

Kiedy nareszcie poznałam go w 1971 roku, byłam prawie 35-letnią matką czwórki dzieci, przy kości i tuż przed rozwodem. Ted miał 24 lata i był przystojnym studentem ostatniego roku psychologii na Uniwersytecie Waszyngtońskim. Los uczynił nas kompanami na telefonie zaufania Kliniki Kryzysowej Seattle, przy którym oboje mieliśmy nocny dyżur we wtorkowe noce. Niemal od razu między nami zaskoczyło i równie prędko zostaliśmy przyjaciółmi.

Byłam wolontariuszką, a Ted zarabiał dwa dolary na godzinę jako pracujący student. Chciał iść na prawo, a ja miałam nadzieję, że moja dopiero rozkwitająca kariera wolnego strzelca przedzierznie się w coś, co zapewni mojej rodzinie stały dochód. Choć miałam dyplom licencjata z pisania kreatywnego, zdobyty na Uniwersytecie Waszyngtońskim, to nie pisałam zbyt dużo aż do 1968 roku, kiedy to zostałam korespondentką „True Detective Magazine” i jego siostrzanych publikacji na północny zachód; wszystkie specjalizowały się w opartych na faktach historiach detektywistycznych. Mój region sięgał od Eugene w Oregonie do kanadyjskiej granicy.

Okazało się, że pasuję do podobnych opowieści jak ulał. W latach 50. pracowałam w Seattle jako policjantka, a połączenie mojego zainteresowania służbami mundurowymi i kierunkowego wykształcenia zaprocentowało. Na uniwersytecie zrobiłam drugi fakultet z psychopatologii, a potem uzyskałam dyplom z nauk politycznych, co pozwoliło mi na napisanie paru prac o postępach na polu kryminalistyki. Do 1980 roku opisałam przeszło 800 spraw,

głównie zabójstw, z całego północno-zachodniego wybrzeża, czym zaskarbiłam sobie zaufanie setek detektywów zajmujących się zabójstwami. Jeden z nich, chcąc wyrazić swoje uznanie, posłużył się cokolwiek niezgrabnymi słowami: „Ann, jesteś jak jeden z naszych chłopców!”. Jestem pewna, że dzielone z Tedem zainteresowanie prawem – podobnie jak fascynacja psychopatologią – zbliżyło nas do siebie i dało nam temat do wspólnych dyskusji. Zawsze jednak wydawało mi się, że jest jeszcze coś, coś więcej, coś niemalże efemerycznego. Sam Ted odniósł się kiedyś do tego, pisząc do mnie z więziennej celi, jednej z wielu, które zajmował.

„Mówiłaś, że to karma. Możliwe. Lecz bez różnicy, jaka nadprzyrodzona siła kieruje naszym przeznaczeniem, połączyła nas ona przez sytuacje poszerzające perspektywę. Muszę wierzyć, że owa niewidzialna dłoń poleje nam jeszcze odrobinę schłodzonego chablis w spokojniejszych, mniej zdradliwych czasach, które kiedyś nadejdą. Całuję, ted”.

List datowano na 6 marca 1976 roku. Już nigdy nie mieliśmy się spotkać inaczej niż za murami zakładu karnego albo na pilnie strzeżonej sali sądowej. Ale nasza intrygująca więź przetrwała.

Ted Bundy był moim przyjacielem na dobre i na złe. Trwałam przy nim przez długie lata z nadzieją, że wszystko, co o nim mówią, to nieprawda. Niewielu zrozumie moją decyzję. Za to na pewno niejednego ona rozzłości. Lecz jeśli cokolwiek dobrego ma wyniknąć z tych okropnych lat 1974–1980, historia Teda Bundy’ego musi zostać opowiedziana od samego początku aż do końca.

Długo zmagalam się ze sprzecznymi uczuciami, jakie żywiłam do Teda. Jako profesjonalna pisarka dostałam na tacy materiał życia, coś, o co modli się każdy autor. Prawdopodobnie nie ma żadnego innego pisarza, który poznał historię Teda od każdej strony. Nie drążyłam jej ani nie szukałam, zdarzały mi się też długie noce, kiedy gorliwie żałowałam, że wszystko nie potoczyło się zupełnie inaczej, że nie pisałam o jakimś nieznanym, którego nadzieje i marzenia

nie były częścią moich. Chciałam móc się cofnąć do 1971 roku, wykreślić wszystko, co się stało, potrafić myśleć o Tedzie jako otwartym, uśmiechniętym młodym człowieku, którego wtedy znałam.

Ted wie, że piszę tę książkę. Zawsze wiedział, nie przestał do mnie pisać ani dzwonić. Jak podejrzewam, ma świadomość, że spróbuję pokazać człowieka, jakim był. Opisywano go jako idealnego syna, perfekcyjnego studenta, harcerza, który dorósł, geniusza przystojnego niczym gwiazda filmowa, jasne światelko na firmamencie Partii Republikańskiej, troskliwego i fachowego pracownika socjalnego, obiecującego prawnika, zaufanego przyjaciela i młodego człowieka, którego przyszłość rysowała się w kolorowych barwach.

Był wszystkim tym i zarazem niczym z tego.

Ted Bundy nie pasuje do żadnego szablonu. Nie da się zajrzeć do jego teczki i powiedzieć: „To, kim się stał, było nieuniknione”.

Było raczej niemożliwe do wyjaśnienia.

ANN RULE, 29 stycznia 1980 roku

Rozdział czterdziesty drugi

3 lipca o 1.00 nad ranem wyleciałam z lotniska Sea-Tac w Seattle ku Miami. Na miejscu, czyli w Metropolitalnym Centrum Sprawiedliwości hrabstwa Dade, miała na mnie czekać do odbioru akredytacja prasowa. Jak zrozumiałam, było już tam 30 dziennikarzy gotowych przetrwać każdy skrawek informacji na temat Teda Bundy'ego, a potem za pośrednictwem telefonu i telegramu podzielić się nimi z resztą Ameryki.

Raz jeszcze wszystko to wydało mi się szalenie nierealne, do czego przyczynił się także film pokazywany nam podczas lotu, *Miłość od pierwszego ukażenia*. Pozostali pasażerowie lecący kilometry nad śpiącym krajem śmiali się z kiczowatego Drakuli granego przez George'a Hamiltona, który wbijał kły w piękne dziewczice. Ja nie dostrzegłam w tym nic śmiesznego.

Miną 42 godziny, zanim położę się spać. Przekroczyliśmy wododział kontynentalny. Po lewej stronie samolotu zobaczyłam pierwsze promienie świtu, lecz po prawej nadal panowała smolista czerń. Niedługo potem moim oczom ukazały się prastare rzeki, które się wiły, torując sobie drogę aż do morza, oraz drzemiące jeszcze miasta. Wylądowaliśmy na lotnisku w Atlancie o 6.00 rano. Po godzinie oczekiwania odleciałam na południe w mniejszym samolocie. Mokradła Everglades wydały mi się bezkresnie samotne i odcięte od świata. Przed nami majaczyło Miami, płaskie i rozległe, będące swoistą antytezą Seattle, które pobudowano na ciągu wzgórz.

Lipcowy gorąc południowej Florydy narastał od rana i po wyjściu z terminala lotniska upał niemal mnie odepchnął. Podczas tych paru tygodni spędzonych w Miami nie zdołałam przystosować się do owego namacalnego, nieustępliwego żaru. Nie zelżał ani na chwilę. Nawet gwałtowne południowe burze wyciskały z chmur jedynie ogromne krople gorącej wody i pozostawiały po sobie powietrze równie nieprzyjemne i gęste co wcześniej. Wieczór również nie przynosił ulgi, do czego przyzwyczaiał mnie północny zachód. Widok drzew palmowych wywołał u mnie ostry atak tęsknoty za domem i nie tylko przypomniał mi o tych kilku miesiącach w Los Angeles, ale i uświadomił, że Ted prawdopodobnie nie pojedzie już do domu.

Zostawiłam bagaże w motelu i wzięłam taksówkę do Centrum Sprawiedliwości, nowego, ładnie prezentującego się kompleksu stojącego w cieniu stadionu Orange Bowl. Po wejściu do recepcji podstacji Wydziału Bezpieczeństwa Publicznego hrabstwa Dade – który z budynkiem Centrum Sprawiedliwości, gdzie na trzecim piętrze miał rozpocząć się proces Teda, łączyła kładka – od razu zwróciłam uwagę na wzmożone środki bezpieczeństwa. Nikogo nie wpuszczano nawet do wind jadących na wyższe piętra bez uprzedniego sprawdzenia tożsamości i wydania plakietki.

Była mi ona potrzebna, jeszcze zanim wjechałam na górę do biura służby informacyjnej, skąd pobrałam kolejną przepustkę uprawniającą mnie do wejścia na salę! Nie chcieli ryzykować, że Ted ucieknie z Miami.

I tak stałam się „Media, numer 15”.

W pierwszej kolejności udałam się na ósme piętro Centrum Sprawiedliwości, gdzie przekonałam się, że całą tę przestrzeń oddano do dyspozycji prasie. Nigdy czegoś podobnego nie doświadczyłam. Panował tam rozgorączkowany chaos. Trzy tuziny odbiorników telewizyjnych przekazywały każde słowo z odbywającego się pięć pięter niżej procesu, a prezenterzy, prezenterki, dziennikarze

i reporterzy – ich całe tabuny – oglądali wszystko, transmitowali, montowali i kleili. Panująca tam kakofonia wydawała się nikomu nie przeszkadzać. Unosił się gęsty papierosowy dym, blaty zastawione były filiżankami kawy. Na wykładzinie plątały się przewody. Kabel z kamery telewizyjnej ustawionej na sali sądowej potrafił ciągnąć się przez całe trzecie piętro, a potem po elewacji budynku aż do tej swoistej reżyserki. Za pomocą wzmacniaczy dystrybucyjnych dzielono sygnał i to, co się działo, przekazywano jednocześnie do trzech różnych stacji telewizyjnych. Segmenty wybrane przez telewizję były z kolei przesyłane na ósme piętro, gdzie firma telekomunikacyjna Southern Bell zainstalowała talerz transmisyjny. Ten z kolei wysyłał sygnał do centrum miasta, skąd nadawano go przewodowo do specjalnego systemu telewizyjnego. Ten sam sygnał szedł dalej, do Atlanty, gdzie ABC puszczała go do Nowego Jorku przez satelitę Telstar I i do Kalifornii oraz na Zachodnie Wybrzeże przez Telstar II. CBS miało na sali jedną kamerę, którą obsługiwali na zmianę operatorzy z paru różnych stacji.

Ted powiedział mi wcześniej, że jest złotym chłopcem, i faktycznie media za takiego go miały.

Rozejrzałam się po pokoju. Stacje z Kolorado, Utah, Waszyngtonu i Florydy poprzyklejały tu i ówdzie wypisane odręcznie kartki, znacząc tym samym swoje „terytorium”. Podczas procesu ósme piętro budynku sprawiedliwości działało całą dobę. Zawsze narzekałam, że pisanie to zajęcie pustelnicze – zwykle pracowałam w suterenie mojego domu – ale tutaj o samotności nie było mowy. Zaskoczyła mnie żelazna dyscyplina innych dziennikarzy, którzy karnie zdawali gotowe artykuły napisane w tym hałaśliwym tyglu, gdzie rejuwach nie ustawał ani na chwilę.

Zostawiłam dyktafon na górze, bo nie można było korzystać z nich na sali sądowej, ale z czasem nauczyłam się pewnej sztuczki i kładłam go włączonego przy odbiorniku telewizyjnym w pokoju dla prasy i pędziłam na rozprawę. Tym sposobem miałam swoje

notatki robione „na żywo” oraz zapis przebiegu procesu zarejestrowany na taśmie.

Wyszedłam z windy na trzecim piętrze i udałam się ku sali. Zupełnie szczerze, byłam przerażona, bo zapuszczałam się na kompletnie nieznane sobie terytorium. Miałam zobaczyć finał czterech lat niepewności i obaw.

Jeśli sędziego Edwarda Cowarta można było porównać do bernardyna, to strażnik pilnujący porządku na sali, Dave Watson, kojarzył się z zadziornym pitbullem, oddanym i zawzięcie opiekuńczym w stosunku do Cowarta. Gdy zakrzykiwał: „Proszę siadać! Sąd rozpocznie posiedzenie!”, zdejmował nas wszystkich pełen szacunku strach. I biada temu, kto śmiał podczas sesji wychodzić do toalety. Watson nie pozwalał na żadne włóczenie się po sali.

Ale, niech go Bóg błogosławi, podszedł do mnie, kiedy czekałam niepewnie pod salą. Był siwym mężczyzną po siedemdziesiątce, nosił nieskazitelnie białą koszulę i ciemne spodnie, czyli swój „uniform”. Nie miałam wtedy pojęcia, że to ów budzący grozę strażnik Watson. Uśmiechnął się i objął mnie ramieniem, mówiąc: „Wejdz do środka, kochana...”.

Sala sędziego Cowarta była dużym ośmiobocznym pomieszczeniem o ścianach wyłożonych egzotycznym drewnem, z mosiężnymi obramowaniami i pulpitem z marmuru. Sztucznego? Zapewne. Pod sufitem zamontowano oświetlenie z białymi, turkusowymi, czerwonymi i winnymi oprawkami.

Trzydzieści trzy miejsca dla prasy znajdowały się po lewej od wejścia, a naprzeciwko nich sektor dla stróżów prawa. Dalej była przynajmniej setka siedzeń dla publiczności. Sala nie miała okien, ale działała klimatyzacja.

Zawsze uważałam, że proces sądowy to istny mikrokosmos życia. Sędzia to ojciec, życzliwy, ale autorytarny, który nam przewodzi, i Edward Cowart znakomicie do tej roli pasował. Całą resztę – ławników, obronę, oskarżenie, publikę i prasę – łączy intensywne

przeżycie komunalne. I gdy dobiega ono końca, panuje jakby smutek, bo już nigdy nie będziemy ze sobą tak blisko, a większość z nas więcej się ze sobą nie spotka.

Na tym konkretnym procesie czułam się, jakby postaci z czytanej przeze mnie od dawna powieści nagle ożyły. Znałam imiona niemal wszystkich zainteresowanych, słuchałam o nich od lat, mimo że Ted był jedyną osobą, którą poznałam osobiście.

Zajęłam miejsce w sektorze dla prasy, pośród nieznanym, którzy z czasem staną się moimi kolegami. Obok mnie siedzieli Gene Miller, dwukrotny zdobywca Nagrody Pulitzera z „Miami Herald”, Tony Polk z „Rocky Mountain News” z Denver, Linda Kleindienst i George McEvoy z „Fort Lauderdale News” i „Sun-Sentinel”, George Thurston z „Washington Post”, Pat MacMahon z „St. Petersburg Times”, Rick Barry z „Tampa Tribune” i Bill Knowles, szef południowego oddziału ABC News, i notowali po swojemu.

Ted się obejrzał, rozpoznał mnie, uśmiechnął się i mrugnął. Wyglądał trochę dojrzej, niż kiedy widziałam go ostatnim razem, ale nadal prezentował się bardzo dobrze w garniturze, starannie uczesany. Zupełnie jakby czas się dla niego zatrzymał. Przypomni mi się *Portret Doriany Gray*. Ja zostałam już dwukrotnie babcią, tymczasem Ted wyglądał niemal tak jak w 1971 roku, może był nawet jeszcze przystojniejszy.

Rozejrzałam się po sali. Zobaczyłam twarze podobne do tych, które widywałam już na niezliczonych procesach, twarze ludzi żyjących od rozprawy do rozprawy. Było to ich jedyne hobby, zainteresowanie i dodatkowe zajęcie: schludnie ubrani staruszkowie i mocno umalowana dojrzała pani z trwałą ukrytą pod kapeluszem z szerokim rondem, kury domowe na wagarach, ksiądz i śmiertelnie poważni umundurowani stróże prawa. Na samym przedzie, tuż za Tedem i jego obrońcami, tłoczyły się śliczne młode kobiety, które wracały tam każdego dnia. Czy zdawały sobie sprawę, jak bardzo przypominały ofiary, o zamordowanie których oskarżano

podejrzanego? Nie spuszczały Teda z oczu, rumieniły się i chichotały, kiedy się odwracał, żeby rzucić im oślepiający uśmiech, co czynił dość często. Po wyjściu z sali niektóre przyznawały dziennikarzom, że Ted je przeraża, a jednak nie potrafiły trzymać się z daleka od niego. Fascynacja domniemanym seryjnym mordercą była, jak się okazało, powszechną przypadłością dotyczącą niektóre kobiety, jakby był on absolutnym macho.

Panowało jakby milczące przyzwolenie na to, aby pierwszy rząd był niejako zarezerwowany dla „groupies Teda”, i nigdy wcześniej ani później nie spotkałam na żadnym procesie tylu atrakcyjnych kobiet: były tam studentki z domu Chi Omega, które składały zeznania na temat nocy z 14 na 15 stycznia 1978 roku, dziewczyny, które uszły z życiem, a nawet śledcze, zastępczynie szeryfa i dziennikarki.

Podczas tych pierwszych dni przysięgłych nie było na sali. Nadal trwało postępowanie przedprocesowe i Cowart musiał zdecydować, co będzie dopuszczone przed sądem. Ławnicy zostali zakwaterowani w wygodnym kompleksie nad zatoką Biscayne.

Niezorientowany obserwator miałby trudności z odróżnieniem Teda od młodych adwokatów obecnych na sali: Lynn Thompson, Eda Harveya, Boba Haggarda i, po stronie oskarżenia, Larry’ego Simpsona oraz Danny’ego McKeevera, obu z Biura Prokuratora Stanowego.

Obrona chciała wyłączyć z procesu świadków, których planowało przesłuchać oskarżenie: Connie Hastings i Mary Ann Piccano, czyli dziewczyny, które wcześniej tego sobotniego wieczoru widziały w dyskotecce Sherrod’s pewnego mężczyznę; Nitę Neary, studentkę z Chi O, która zauważyła uciekającego człowieka z kijem; doktora Souvirona ze swoim zeznaniem dotyczącym ugryzień; sierżanta Boba Haywarda od aresztowania w Utah; Carol DaRonch z Salt Lake City; śledczych Norma Chapmana i Dona Patchena z ich zeznaniami na temat przesłuchania w Pensacoli z połowy stycznia.

Kiedy przestąpiłam próg sali, na stanowisku dla świadka stała akurat Nita Jane Neary. Obrona mocno ją dociskała i dziewczyna była już na granicy płaczu, ale stanowczo odpowiadała na ich pytania. Zapytana, czy na sali obecny jest mężczyzna, którego widziała tamtej nocy, odparła: „Tak, ufam, że tak”, lecz poprosiła, czy może jeszcze spojrzeć na wszystkich z profilu.

Cowart rozkazał mężczyznom na sali powstać i obrócić się bokiem.

Nita Jane przyjrzała się obecnym, ale dość niechętnie spojrzała bezpośrednio na Teda, po czym cokolwiek mechanicznym ruchem podniosła dłoń i nadal patrząc spod spuszczonej powiek, pokazała palcem pozwanego.

Ted wyręczył protokolantkę i powiedział (o sobie): „To pan Bundy...”.

Obrona przepytła Nitę i jej matkę. Owszem, rodzicielka pokazała jej zdjęcia Teda Bundy’ego wykonane już po aresztowaniu i drukowane przez gazety, ale Nita wybrała jego fotografię spośród wszystkich okazanych jej przez policję. Była pewna swojego wyboru.

Sędzia Cowart zezwolił jej później na identyfikację podejrzanego, co będzie prawdopodobnie najmocniejszym ciosem zadany obronie.

Ronnie Eng, „pieszczoszek” Chi Omega, mężczyzna, którego z początku Nita Neary wzięła za wybiegającego z domu siostrzeństwa, przeszedł pozytywnie test wariografem, lecz zjawił się na rozprawie przedprocesowej. Gdy stanął obok Teda Bundy’ego, nie przypominał go ani trochę. Ronnie był niższy, miał ciemniejszą cerę i czarne włosy. Był nieśmiałym świadkiem, uśmiech nie schodził mu z ust.

Carole Ann Boone, najwierniejsza sojuszniczka Teda, również znajdowała się na sali, a ich spojrzenia często się krzyżowały. Była wysoką i grubokościstą 32-latką. Nosiła okulary o grubych oprawkach i miała krótkie ciemne włosy, bez przedziałka na środku. Rzadko się uśmiechała i zwykle miała przy sobie sterty papierzysek.

Wydawało się, że interesuje ją wyłącznie to, żeby nawiązać kontakt z pozwanym.

Gdy pierwszy dzień postępowania dobiegł końca, podeszłam do Carole Boone i przedstawiłam się jej. Spojrzała na mnie i powiedziała: „Tak, słyszałam o tobie”, po czym obróciła się na pięcie i odeszła. Zaskoczona odprowadziłam ją spojrzeniem. Nie lubiła mnie, bo miałam plakietkę dziennikarską, czy chodziło o to, że byłam starą przyjaciółką Teda? Nigdy się tego nie dowiedziałam. Nie odezwała się już do mnie ani słowem.

Następne posiedzenie sądu rozpoczęło się od rozpatrzenia wniosków złożonych przez Teda, który domagał się wyznaczenia dodatkowych ćwiczeń, przywileju korzystania z biblioteki prawniczej oraz dostępu do maszyny do pisania. Zarówno biblioteka, jak i część rekreacyjna znajdowały się na siódmym piętrze budynku aresztu. Ted i jego strażnik wdali się w zaciętą wymianę zdań.

- Możecie mi przydzielić liczniejszą ochronę?
- Lepiej tak zrobimy.
- Ilu? Jednego? Dwóch? Trzech?
- Nie musimy tego ustalać teraz, ale wystarczająco.
- Może pan czytać podczas ćwiczeń, panie Bundy? – zapytał Cowart.

Ted, który tego dnia miał na sobie koszulkę Seattle Mariner's, zaśmiał się cicho. Żądał godziny dziennie na bibliotekę i kolejnej na ćwiczenia, do tego nielimitowanych wizyt Carole Ann Boone, która, jak mówił, „przekazywała wiadomości ode mnie moim prawnikom na Zachodzie”, lecz Cowart nie chciał się na to zgodzić. Nie wydał też pozwolenia na wydanie mu maszyny.

Następnie zeznawała kolejna postać z mojej wymyślonej książki, czyli sierżant Bob Hayward z patrolu drogowego stanu Utah, który miał opisać aresztowanie Teda z sierpnia 1975 roku. Kiedy Hayward mówił o „masce z pończochy”, sędzia Cowart złożył sprzeciw za „advokata” Bundy'ego, mówiąc: „Przyjacielu, to ci umknęło, ale razem wszystko wyłapiemy”.

Wtedy byłam świadkiem jednej z najdziwniejszych scen, jakie kiedykolwiek rozegrały się na moich oczach, bo Ted Bundy miał być jednocześnie pozwanym, adwokatem obrony, a potem także i świadkiem.

Ted wstał, żeby przepytac Haywarda. Wypytał go szczegółowo o aresztowaniu w Utah, o sprzęt znaleziony w jego aucie, o to, co zostało wtedy między nimi powiedziane, i starał się podkreślić, że nie udzielił pozwolenia na przeszukanie swojego volkswagena. Hayward, nieco zbity z tropu, że przepytował go pozwany, odparł szorstko: „Mówił pan, żebym działał”.

Następnie Ted przepytał zastępcę Daryle’a M. Ondraka z biura szeryfa hrabstwa Salt Lake, argumentując, że rzeczy znalezione w samochodzie niekoniecznie były sprzętem mogącym służyć włamywaczowi, bo choć został o to oskarżony, to nigdy nie stanął pod tym zarzutem przed sądem.

Interweniował Cowart:

– Może pan jeszcze próbować przekonać wzgórze Utah, czy był to sprzęt włamywacza, czy nie, ale to w tej sprawie nieważne. Niech już pan lepiej odpuści, bo ma przewagę... choć nie powiedziałem, jak dużą.

Ted usiadł na miejscu świadka. Zeznał, że pierwszymi słowami, jakie skierował do niego Hayward, były: „Czemu nie wysiadłeś z auta i nie uciekłeś? Mógłbym wtedy odstrzelić ci łeb”.

Wyjaśnił, że został zastraszony przez samą liczbę obecnych podczas przeszukania funkcjonariuszy, które zresztą uznał za nielegalne. Dalej odpowiadał na pytania Danny’ego McKeevera i przyznał, że kłamał i niejechał z kina samochodowego, kiedy go zatrzymano. Ted przekonywał, że powinno się unieważnić wszystkie dowody pozyskane podczas tamtego aresztowania, upierał się, że zdobyto je podczas nielegalnego przeszukania.

Sędzia Cowart ostatecznie nie dopuścił pozyskanego wtedy materiału dowodowego, lecz nie na podstawie podsuwanej przez Teda.

Uznał, że aresztowanie nie ma dostatecznego „związku” z toczącym się postępowaniem.

– Może pan usiąść, panie Bundy, ale nie spocząć – powiedział.

Orzeczenie sądu będzie ciosem dla oskarżenia. Ławnicy nie będą mogli bowiem porównać maski z pończoch znalezionej przez Haywarda z maską z Dunwoody Street.

Był remis, jeden do jednego.

Sędzia Cowart rzadko zdradzał się podczas procesu z tym, co siedziało mu w głowie, ale kiedy zobaczył portret pamięciowy przygotowany przez rysownika na podstawie zeznania Nity Neary, który Peggy Good zbywała jako nieznaczący, wymknęło mu się:

– Może i niedowidzę – zaczął Cowart – ale jak patrzę na ten ostatni rysunek, to zauważam ogromne podobieństwo do... och... kimkolwiek był.

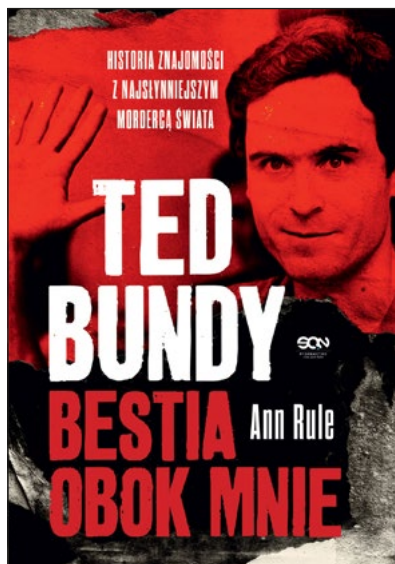
Po przesłuchaniu nagrań z Pensacoli i zeznaniach złożonych przez śledczych Norma Chapmana i Dona Patchena, którzy streścili, co Ted miał im powiedzieć po wyłączeniu dyktafonu, sędzia Cowart wydał kolejne orzeczenie. Słyszając jego słowa, prokuratorzy Simpson i McKeever mało nie pospadali z krzesel. Przysięgli mieli nie usłyszeć ani słowa z tego, co zostało powiedziane, nie można było również nawiązywać do owych zeznań podczas procesu. Nic na temat ucieczki, kradzieży kart kredytowych czy też rozmowy o rzekomym „wampiryzmie”, „voyeuryzmie” i „fantazjach”. Cowart uznał, że zbyt duża część rozmowy zaginęła lub nie została nagrana. Ba, nie dopuścił nawet tego, co zostało zarejestrowane. Według sędziego Cowarta kradzież kart kredytowych miała się nijak do ciężących na Tedzie zarzutów zabójstwa.

Wyleciała również „taśma z fantazjami”.

Stanowi została identyfikacja dokonana przez Nitę Neary i zeznanie doktora Richarda Souvirona. Reszta to poszlaki. Dziennikarze obserwujący rozprawę zaczęli szeptać, że „być może Bundy powrócił do gry”.

PRAMATKA GATUNKU TRUE CRIME!

Od premiery w 1980 roku wznowiania 4 razy,
w Polsce po raz pierwszy!



Książka dostępna na empik.com
oraz w dobrych księgarniach